

Czy fenomen jurodztwa mówi coś istotnego o Rosji? Rozmowa z Piotrem Nowakiem

Aleksandr Panczenko podkreśla, że jurodiwy stale ucieka od miłości, zarówno od swoich, jak i od obcych, by tylko nie poczuć zadomowienia się w tym świecie, tego „ciepełka”, do którego właściwie wszyscy zmierzamy. Każdy jurodiwy obnosił się ze swoją brzydotą, a trzeba pamiętać, że brzydota w wiekach średnich stanowiła kategorię etyczną, nie estetyczną – mówi Piotr Nowak w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Święte szaleństwo”.

Karol Grabias (Teologia Polityczna): W oficjalnej historiografii rosyjskiej jurodiwi byli marginalizowani, mimo to inspirowali ludowy folklor i wielką literaturę – postać Nikołka z *Borysa Godunowa* Puszkina czy księcia Myszkina z *Idioty* Dostojewskiego. Z czego wynikała rosyjska fascynacja jurodiwymi?

Piotr Nowak (Kronos, UwB): Jeden z rozdziałów książki Nietzschego *Ecce Homo* nosi tytuł „dlaczego piszę takie dobre książki”. Mnie zawsze intrygowało, dlaczego Rosjanie tak świetnie piszą, właściwie – najlepiej na świecie. Dlaczego Francuzi mają Balzaka a Rosjanie Dostojewskiego? Dlaczego pierwsi babrzą się we własnym sosie (Proust), a drudzy kasują publikę *Wujaszkiem Wanią* czy przykrywają *Płaszczem*? Chyba właśnie wtedy – w połowie lat 90. – wpadłem na trop jurodiwego, figury, która jak w soczewce zbiera wszystkie elementy irracjonalne i święte, następnie wprowadza je bocznym wejściem do

literatury. Jurodiwym jest nie tylko przywołany przez Pana „idiota” Myszkin. W równym stopniu jest nim ten, który tchnął weń życie. Czy pamięta pan, jak generał Iwołgin opowiada księciu Myszkinowi niestworzone historie, jak to urwaną na wojnie z Napoleonem nogę kazał pochować i wystawić jej nagrobek? My się z tego śmiejemy, pytając samych siebie, czego to geniusz pisarski nie wymyśli. Albo: co też ludziom chodzi po głowach, jakie nieraz głupstwa plotą. Gdy jednak odkrywamy, że epitafium na grobie nogi – „spoczywaj, drogi prochu, do radosnego świtu” – jest identyczne z epitafium umieszczonym na grobie matki Dostojewskiego, to robi się niezręcznie, nam samym zaś jest jak gdyby trochę mniej do śmiechu.

Ta paradoksalna forma pobożności sięga jeszcze czasów Cesarstwa Bizantyjskiego. Mimo to uważamy ją za specyficznie rosyjski fenomen. Czy to uzasadnione powiązanie?

Tutaj znów odpowiem przez porównanie. Zachód ma teatr i kabaret a Rosja ma swoich jurodiwych. Bo jurodiwy to teatr jurodiwego. Jurodiwy, gdy jest sam, zachowuje się, rzekłbym, przytomnie, zupełnie normalnie. Modli się, śpi, potem znów się modli. Odmieniają go dopiero ludzie, wraz z nimi staje się inny. Maską szaleńca, jaką nakłada, pozwala mu wejść w tłum i szybko rozeznać się, kto żyje w grzechu, a kto w prawdzie. Nierzadko pomstuje na ludzi prawych, wymyśla im, mijając w milczeniu nikczemników, jakby ich nie widział, jakby oni sami byli niewidoczni. Podobnie ma Pan u Greków: niesprawiedliwość sprawiała, że człowiek zniknął innym z oczu. O tym mówi przypowieść o „pierścieniu Gygesa” z *Państwa* Platona.

Jurodiwy jest zjawiskiem paradoksalnym. I teatralnym. Dobry teatr przeistacza człowieka. Wymyślając ludziom od najgorszych, jurodiwy nawiązywał w jakiejś mierze do moralistyki sokratejskiej. Proszę zauważyć, że również o Sokratesie mówiono, że jest *atopos*, wywłaszczony z miejsca, *atopotatos*, nie na miejscu, w znaczeniu: zbijający z pantałyku. Być może jurodiwy przybył do Rosji z Grecji. Kto go tam wie?

Także dialogi Platona aż się proszą, by je zagrać. Co to za teatr, ten teatr jurodiwego?

Jurodiwy wchodzi w codzienność, jak nóż i od razu ustanawia skomplikowany związek z widzami. On nie tylko znęca się nad nimi i ich znieważa, on przede wszystkim znęca się nad sobą. To ascetyczny aspekt jego – ujmijmy to tak – performance’u. Furia jurodiwych nie znała granic, być może dlatego, że cieszyli się w Rosji względną nietykalnością. Odbierali od tłumu razy, szturchańce, ale to się zdarza przecież każdemu, w każdej kulturze. Tymczasem lękał się ich nawet car (o ile sam nie był jurodiwym, jak to było w przypadku Iwana Groźnego), cerkiew zaś wzdrygała się przed ich potępieniem. Rosyjski jurodiwy dobrowolnie zamykał się w infernalnym kręgu kręcących się w swoim szaleństwie biesów. I jeśli był bity, to zawsze przez ludzi szalonych szaleństwem tego świata.

Musi pan przyznać, że teatr jurodiwego bywa dość okrutny. Sporo w nim agresji, złorzeczenia, przemocy...

Ponieważ dotyka tajemnicy. Bo skąd w człowieku bierze się zło, czynna agresja wobec bliźnich i zwierząt? Ze złego wychowania? Bardzo wątpię. Uderzamy zwykle w słabszych, ponieważ nie potrafią się obronić. Ale dlaczego to robimy? Unde malum? Trudne pytanie. Cierpienie jurodiwych związane było z naśladownictwem pasji Chrystusowej. Oni wykrwawiali się dla innych i przez innych. Ich krew była ofiarą. Współcześni widzowie dostrzegliby w takim widowisku elementy masochistyczne, skoro przeważnie jurodiwy sam prowokował tłum do agresji. Jeśli popatrzymy na to z zewnątrz, odcięci od chrześcijańskiej duchowości, dostrzeżemy w takim zachowaniu wygłup urągający przyzwoitości. Nic więcej.

Jurodiwi widzą w ludziach oprawców Chrystusa, a więc patrzą na nich trochę jak Bosch na malowane przez siebie stwory. Następnie swoim cierpieniem starają się zmazać ich winy. Pamięta Pan ten fragment ewangelii: „A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują”? To jest teologiczne uzasadnienie takiego zachowania.

Jurodiwi często „grali” nago. Czy należy widzieć w tym kolejny przejaw epatowania szerokich mas społeczeństwa własną odmiennością?

Ich nagość miała wskazywać na to, że nie mają się czego wstydić, że nie mają nic do ukrycia. A skoro człowieczeństwo łączy się jakoś ze wstydem, w demonstracyjny sposób wskazywali na hiatus pomiędzy nimi a ludzką ciżbą. Poza tym nagość naprowadzała na ich biblijne ubóstwo, że, tak jak Chrystus, nie mają niczego, że nic do nich nie

należy. Zbliżało to jurodiwych do ideału świętości. Wreszcie ich nagość była sposobem na udręczenie ciała. Podam Panu opis nagości Jana Wielkiego Kołpaka, którego nazywano Nosiwodą: „Włożywszy na ciało swe krzyże z łańcuchami żelaznymi, a na głowę kołpak wielki i ciężki, na palcach rąk swoich kółka i pierścienie miedziane nosił, i różaniec drewniany, i cierpieniem swe ciało męczył, trudząc się dla Chrystusa i złe ciemne duchy odpędzając, i nawet na tajemnych członkach swych miedziane obręcze nosił”. Owe „tajemne członki” to, rzecz jasna, nieprzyzwoite części ciała. Aleksandr Panczenko, za którym przytaczam te słowa, podkreśla, że jurodiwy stale ucieka od miłości, zarówno od swoich, jak i od obcych, by tylko nie poczuć zadomowienia w tym świecie, tego „ciepełka”, do którego właściwie wszyscy zmierzamy. Każdy jurodiwy obnosił się ze swoją brzydotą, a trzeba pamiętać, że brzydota w wiekach średnich stanowiła kategorię etyczną, nie estetyczną. Synonimizowała dobro. I odwrotnie: piękno stanowiło domenę mocy infernalnych. Brzydotę uważano za cechę mesjańską. To co święte należało przeżywać, a nie napawać się jego pięknem. To antychryst jest piękny i chce się wszystkim podobać, chce, by go przyjmowano. Zło – wierzone – udziela się w pięknie i wchodzi w świat przez piękno. Proszę zauważyć, że swoistym wyrazem tych intencji jest malarstwo Francisa Bacona, które brzydotę oddaje w sposób doskonale piękny.

Rosję w jej religijnym rozwoju ominęło dojrzałe średniowiecze – scholastyczne spory i budowa gotyckich katedr. Czy ten fakt w pewien sposób koresponduje z „szalonym” typem pobożności?

Że byli niewychowani, że za mało kultury mieli? Niech pan da spokój z takimi pytaniami. Coś Panu powiem: dziś, w naszym poukładanym świecie nie mielibyśmy z jurodiwymi najmniejszego kłopotu.

Wystarczyłoby ustalić, jakie leki należy im podać i jak długo hospitalizować. I czy NFZ na pewno zwróci pieniądze za leczenie. Tyle mniej więcej rozumiemy z tej tradycji.

Szaleństwo boże ma swój odpowiednik w zachodnim chrześcijaństwie – nie wspominając o wyznaniach niechrześcijańskich. Czy istnieją istotne różnice między „zachodnimi” a „wschodnimi” szaleńcami bożymi?

Franciszek z Asyżu to chyba jedyny święty w tradycji rzymskokatolickiej, który mógłby mieć cechy wspólne ze wschodnim szaleńcem chrystusowym. Jednak w naszej kulturze stanowi on zjawisko marginalne, odosobnione. Zdyscyplinowany, racjonalny katolicyzm stygmatyzował takie rzeczy jako herezje, następnie się z nimi po swojemu obchodził. Nie będę opowiadał, co się stało z katarami. Historia bolesna i dobrze znana.

Obok świeżo wydanej przez nas książki o szaleństwie chrystusowym pióra Ewy Thompson mamy po polsku pracę Cezarego Wodzińskiego. Jego *Święty Idiota* został swego czasu bardzo dobrze przyjęty, tłumaczono go na języki. Co Pan sądzi o tych książkach?

Całą rzecz proponuję sprowadzić do anegdoty.

Jest rok 2001, kwiecień. Przyjechałem właśnie wraz z Cezarym Wodzińskim na konferencję, na University of Chicago. To było chyba o końcu historii. Następnego dnia jej organizatorzy podjęli nas lunchem,

miła rozmowa. Dość nieoczekiwanie dołączył do nas mój przyjaciel Michał Okłot, dziś profesor slawistyki w Brown University, wtedy doktorant w Northwestern. Wraz ze swoim profesorem Ilyą Kutikiem usiedli nieproszeni do stołu, obaj kompletnie pijani. Proszę sobie wyobrazić: jest gdzieś druga po południu. Profesor Kutik mierzwi włosy Cezarego, częstuje się jego papierosami, zamawia kolejne wódki, nie myśląc za nie płacić. Zagaduje o *Św. Idiotę*, książkę o jurodstwie, którą Wodziński wydał rok wcześniej: – Скажи-ка лучше, сам это изучал, или же содрал с Панченко? Ну так что, старина? (Ty powiedz lepiej, czy sam to zbadałeś, a ile wzięłeś od Panczenki, co stary?) – pyta. Na co Cezary, odpychając mierzwiącą włosy dłoń, odpowiada zaczepnie i nerwowo: – А ты что, вынюхивать сюда притащился, или как? (A co na przeszpiegi tutaj przyszedłeś, czy jak?). Doszło do scysji. Być może ta umiarkowanie zabawna wymiana zdań pomiędzy polskim profesorem i profesorem amerykańskim, w Stanach, po rosyjsku, jest kluczem do książki Wodzińskiego o jurodiwym. Mnie się ta książka nie spodobała. Nawet bardzo. Była podszyta jakimś błazeństwem, postmodernizmem, grą z czytelnikiem znaczonymi kartami. Wydawało się to nieuniknione, ponieważ Cezary był całkowicie odcięty od sfery świętości. Owszem, nawet „pisał” ikony, ale to wszystko było robione dla hucpy, na pokaz. Zresztą samą książkę otwiera błazeński list „Dostojewskiego”, który Cezary zmyślił i podał za trzydziestojednotomowym wydaniem *Pism zebranych*. Sęk w tym, że Pisma zebrane Dostojewskiego liczą 30 tomów, że nie ma tomu 31-ego. Wydawało mu się, że wystarczy mrugnąć do czytelnika okiem i wyjdzie z tego dobra zabawa. Nie wyszła. Pamiętam, że nasza koleżanka Joanna Tokarska-Bakir za ten numer zerwała wtedy z Wodzińskim stosunki. Ale rzecz nie sprowadza się tylko do błaznowania, „jurodstwowania” na tekście. Gorzej jest z pytaniem prof. Kutika o wtórność tej książki. Aleksandr Panczenko poświęcił na badanie fenomenu jurodstwa pół życia. Czy Cezary sam zbadał to zjawisko, czy jedynie beztrosko sparafrazował dokonania innych badaczy? Muszę powiedzieć, że pokłóciłem się z nim o to. Po

latach dowiedziałem się, że swoją książkę w większości „odpisał” z opus magnum Sergieja Ivanova opublikowanym po rosyjsku w 1994 roku. Niestety, odkrył to sam autor, co zaznaczył we wstępie do amerykańskiego wydania tej książki (S. Ivanov, *Holy Fools in Byzantium and Beyond*, Oxford 2006, s.3). Przykra sprawa. Cezary Wodziński pisał o Rosji rzeczy natchnione, ale ta jego książka o jurodstwie do nich nie należy. Z tym większym zaciekawieniem przeczytam książkę prof. Ewy Thompson. Mam nadzieję, że odkłamię obraz przedstawiony bez mała 20 lat temu przez Wodzińskiego.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego